

Gdyby nas piękniej kuszono...

RECENZJA

LUKASZ DREWNAK

Bohaterem najnowszej premiery Teatru Ludowego jest prowincjonalny zespół death metalowy o groźnej nazwie Exterminator. Zaraz, zaraz... Czyż różni się death metal od heavy metalu? I który gatunek muzyczny jest radykalniejszy: black metal czy speed metal? Tego z „Kochanowa i okolic” się nie dowiecie. Radykalni fani Motorhead, Celtic Frost, Vadera, a nawet grupy Lordi mogą sobie spektakl Wali-górskiego spokojnie odpuścić, dla pozostałych krakowskich widzów powinna to być „jazda obowiązkowa”. Bo to nie jest nostalgiczny przewodnik po historii głośnego i ciężkiego rocka, tylko perfidna opowieść o drugiej szansie, jaką otrzymujemy od losu. Perfidia polega na tym, że nic nie jest za darmo. Żeby zacząć jeszcze raz, trzeba najpierw zdradzić wszystko, w co się dotąd wierzyło.

Z plakatu do spektaklu patrzy na nas czterech obciachowo przebranych czterdziestolatków. Członkowie Exterminatora wyglądają na tym zdjęciu jak podstarzali muzycy z metalowego zespołu-legendy. A przecież kariery nie zrobili, po studiach na „kieleckim

uniwersytecie” wrócili do rodzinnej miejscowości, tytułowego Kochanowa: jeden pracuje w banku, drugi w bibliotece... O młodzieńczym radykalizmie przypominają im tylko czarne koszulki z nadrukami, oldskulowy makijaż na twarzach i sztuczne, doczepiane włosy.

Marcys (Jacek Wojciechowski), Makar (Grzegorz Łukawski), Izzy (Max Szelągiewicz) i Jaro (Piotr Piliński) poženili się, obrośli w tłuszcz. Tylko raz w tygodniu spotykają się w domu kultury, żeby sobie pograć jak za dawnych czasów. Nawet nie zauważyli, jak stali się karykaturami samych siebie z przeszłości.

Pewnego dnia wójt gminy (groteskowo-demoniczny Krzysztof Górecki) składa im propozycję nie do odrzucenia. Dostaną stypendium dla młodych twórców (bagatelka – 20 tysięcy złotych), o ile wystąpią na imprezie dożynkowej przed grupą Kombi. Tylko trzeba złagodzić repertuar, rozwiesić plakaty wyborcze wójty, założyć koszulki z logo partii i w ramach treningu rozgrzać ludzi na paru wiejskich festynach.

Warto? Cel uświęca środki? Przecież za te pieniądze można wreszcie nagrać płytę-demówkę! Exterminator daje się kuszyć.

Przemek Jurek, satyryk i dziennikarz, pomyślał o swojej sztuce jako o komedii pokoleniowej z piosenkami. Wykonywany na żywo zestaw hitów ma pokazywać, jak nisko może upaść zespół, który dla pieniędzy i przychylności lokalnej władzy wyrzeka się swego stylu.

W spektaklu Wali-górskiego na scenie rozstawiony jest zestaw perkusyjny, mikrofony, gitary oparte o wznacznice. Z prawej gabinet wójty, z lewej mieszkanie Marcysia, w którym dręczy go żona (Jagoda Pietruszkówna). Uwięziona w sali prób czwórka aktorów odgrywa i opowiada, co wydarzyło się podczas trasy koncertowej. Aktorzy brawurowo rekonstruują łatwość z jaką deathmetalowi muzycy wchodzi w estradowo-biesiadne klimaty. Niby to mierzi ich aplauz pijanego tłumu, czują zażenowanie, że muszą grać „Life is Life”, „Kocham cię jak Irlandię” a nawet „Kolorowe jarmarki”, ale w głębi duszy są zdradziecko szczęśliwi, że wreszcie mają dla kogo grać. Etos metalowca idzie w diabły. A my na widowni klaszczemy do najbardziej wstydliwych przebojów, domagamy się „Cheri Cheri Lady”, bo coś złego jest w tych melodiach.

Wali-górski nie byłby sobą, gdyby w sztuce Jurka nie po-przestawiał jakichś elemen-

tów. Dołożył elementy horroru i wampiryczne tło, nie przypadkiem lokalna dziennikarka Jolanta nachodzi bohaterów niczym sukkub jakiś i oskarża zespół o kryptosatanizm (Iwona Sitkowska daje popis cielesnych i głosowych metamorfoz). Wojciechowski i reszta aktorów-muzyków gra dzielnie biesiadne przeboje, ale prawdziwa chwila próby przychodzi w finale, kiedy naprawdę wkurzony Exterminator serwuje dożynkowej publiczności lekcję death metalu.

Egzamin z muzycznego radykalizmu zdaje nie tylko czwórka scenicznych przyjaciół, ale przede wszystkim aktorzy. Growling jak trzeba, gitary zasuważą. A taki na przykład Łukawski pasowałby nawet do składu Behemota! Zamiast jednego zaplanowanego i opisanego przez Jurka utworu („In the mountains of madness”) przebrani w maski szkieletorów muzycy z Exterminatora wykonują na deser aż trzy. I co się dzieje? Aktorem udaje się zmusić rozochoczoną biesiadnym repertuarem publiczność do tego, żeby tę ciężką muzykę potraktowała bardzo serio.

Ja na przykład wykonałem wtedy w siódmym rzędzie klasyczne headbang, szkoda tylko, że już włosy nie te co kiedyś...

Komedia Jurka tak naprawdę jest pułapką zastawioną nie tyle na jej bohaterów, co na nas, widzów. Bo co wynika z upadku i zmartwychwstania grupy Exterminator? A to, że każdy autentyczny bunt kończy się fazą buntu na pokaz, która skrywa setki małych tchórzliwych kompromisów. Nie wystarczy pozostawać nonkonformistą całe życie, gdzieś na uboczu, w mysiej dziurze, bez szans na prawdziwe pokusy. Bo i tak nikt się o Twojej bezkompromisowości nie dowie, a Ty całe życie będziesz się zastanawiał, co by było, gdybyś wybrał inaczej. To nie jest przepis na uczciwość wobec siebie, to jest przepis na wieczną gorycz.

W „Kochanowie i okolicach” podpowiadają nam inne rozwiązanie. Wierność sobie? Ideały młodości? Owszem, istnieją, tylko trzeba je wszystkie sprzedać i podeptać, żeby w końcu zrozumieć, jak ważne dla nas były. I wtedy można do nich wrócić. Wtedy smakują jak nigdy. Trochę to cyniczne, nieprawdaz? Ale życie takie właśnie jest.

Teatr Ludowy w Nowej Hucie, „Kochanowo i okolice” Przemek Jurka, reż. Piotr Wali-górski, scenografia: Wojciech Stefaniak. Premiera: 1 lutego 2013 r.